



MÓDL SIĘ
ZA NAMI GRZESZNYMI

SINNER

SIERRA SIMONE

ZAKAZANY OWOC
TOM 2



SIERRA SIMONE

SINNER

ZAKAZANY OWOC #2

PRZEŁOŻYŁA
Urszula Musyl



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Sinner

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Ida Świerkocka

Korekta: Paulina Kawka

Projekt okładki: Emily Wittig Designs

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2018 by Sierra Simone

Published by agreement with Folio Literary Management,
LLC and Graal sp. z o.o.

Copyright © 2024 for the Polish edition by Papierowe Serca
an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Musyl, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-043-3

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



1



moking od Armaniego, buty Berluti, zegarek Burberry. Niebieskie oczy, blond włosy, nieco zbyt szerokie szelmowskie usta.

Tak, wiem, że wyglądam dobrze, gdy wysiadam z mojego audi R8 i wchodzę na imprezę charytatywną na rzecz szpitala.

Wiem to ja, wie to parkingowy odbierający moje klucze, wie to dziewczyna obsługująca bezpłatny bar. Gdy biorę od niej szkocką, posyłam jej charakterystyczny dla Bellów uśmiech z dołeczkami, a ona się rumieni. Potem odwracam się i stoję twarzą w twarz z tłumem mnożącego się bogactwa, pijam macallana i zastanawiam się, od czego zacząć.

Dzisiejszy wieczór to moja pieprzona runda zwycięstwa.

Po pierwsze, dziś po południu podpisałem umowę z Keeganem – czyli seksowny stos papierów przekazujący opuszczony blok w centrum miasta nowojorskiemu deweloperowi – i mój Boże, nie uwierzyłbyś, jakie pieniądze mają ci ludzie. To nie są normalne pieniądze. To jak pieniądze z ropy naftowej.

Dzięki nim moja firma nie tylko zarobi kupę szmalu, lecz także umocnię swoją pozycję w Valdman and Associates – w samą porę, gdy Valdman przejdzie na emeryturę i będzie potrzebował kogoś, kto usiądzie w tym upragnionym narożnym biurze i przeliczy wszystkie złote monety.

Po drugie, to ja podpisałem umowę, a nie Charles Northcutt – pieprzyć tego gościa – i chciałbym mu dziś wytrzeć tym świstkiem jego głupią gębę. Wiem, że tu będzie, bo nie może się oprzeć darmowym drinkom i znudzonym żonom na pokaz.

I po trzecie, nad sprawą Keegana harowałem przez wiele nocy, co poważnie wpłynęło na moje życie seksualne i trudno mi się z tym pogodzić. Mam kilka sprawdzonych numerów zapisanych w telefonie, a poza tym zawsze można skoczyć do ekskluzywnego klubu, którego jestem członkiem, ale dzisiejszy wieczór to moja runda zwycięstwa. Taka okazja wymaga czegoś specjalnego. Czegoś nowego.

Jeszcze raz rozglądam się po sali: Valdman siedzi w rogu ze swoją żoną, roześmiany i czerwony na twarzy, mimo że impreza dopiero się zaczęła, a Northcutt trzyma się go blisko, oczywiście.

Pieprzony frajer.

Ale dzisiejszy wieczór jest mój. Wszędzie widzę wspaniałe kobiety i może jestem tylko kolejnym białym facetem ze zbyt dużymi pieniędzmi w zalewie białych facetów ze zbyt dużymi pieniędzmi – mam jednak przewagę. Jestem grzesznikiem z dołeczkami w policzkach i idealną fryzurą i wiem, jak sprawić, by grzech smakował niczym niebo.

Przełykam szkocką, odstawiam szklankę i ruszam do walki.



Godzinę później czuję szturchnięcie w łokieć.

– Tata tu jest. Żebyś wiedział.

Odwracam się, by spojrzeć na mężczyznę w moim wieku, który oferuje mi kolejnego drinka i tym samym daje wygodną wymówkę, by oderwać się od toczącej się rozmowy i skontrolować pomieszczenie.

Oczywiście, ojciec Elijaha Iversona stoi po drugiej stronie sali, otoczony grupą szpitalnych megadarczyńców i pijawek społecznych. Doktor Iverson to lekarz naczelny szpitalnego centrum onkologicznego i zawsze obecna persona na tego typu imprezach, więc nie powinienem być zaskoczony, że się tu pojawił, ale mimo to skóra napina mi się nieprzyjemnie, powodując ukłucia gorąca w dole karku. Zamykam oczy i przez chwilę słyszę stukot naczyń i podniesiony głos mojego ojca. Oraz matkę Elijaha szepczącą błagalnie. I wciąż czuję zapach tych wszystkich kwiatów, białych, mdłych i niezbędnych, kwiatów pogrzebowych na pogrzeb, którego nie powinno być.

Otwieram oczy i trafiam na znajomy, smutny uśmiech Elijaha. On też tam był tego dnia, w którym nasze rodziny przeszły od bliskości do czegoś innego. Czegoś zimnego i odległego. Elijah i ja pozostaliśmy sobie bliscy: w przedszkolu połączyła nas miłość do *Wojowniczych Żółwi Ninja*, a fascynacja Żółwiami Ninja to więź na całe życie – ale reszta członków naszych rodzin oddaliła się od siebie, jakby wymazano dwie dekady wspólnego grillowania, wieczorów z grami planszowymi, opieki nad dziećmi, nocnych imprez i posiadówek do późna z kartami i winem dla dorosłych oraz tyłoma przekąskami, ile można było po cichu przemycić na górę po schodach dla dzieci.

– W porządku – mówię.

To tylko połowiczne kłamstwo, bo chociaż doktor Iverson przypomina mi o tamtym dniu – o okropnej dziurze, jaką śmierć mojej siostry pozostawiła w moim życiu – zawsze jesteśmy uprzejmi i grzeczni, kiedy się widzimy, co dzieje się wystarczająco często w mieście tak małym jak to.

– Hej, impreza zapowiada się świetnie – dodaje, głównie po to, by zmienić temat.

Rozłam na linii Iverson–Bell to stara rana, a Elijah i tak jest dziś pod wystarczającą presją. To jego pierwsze wielkie wydarzenie jako koordynatora eventów w Kauffman Center po odejściu z muzeum sztuki, gdzie zaczynał, i wiem, że zależy mu na tym, aby wieczór poszedł dobrze. A fakt, że jest to również jedyne wydarzenie w roku, w którym uczestniczy jego ojciec i wszyscy jego koledzy... Wiem, że linie wyczerpania i stresu przy jego brwiach i wokół ust nie są wytworem mojej wyobraźni.

Kiwa słabo głową, a oczy w kolorze whisky skanują pomieszczenie. Z tym przenikliwym, stanowczym spojrzeniem i kwadratową szczęką uderzająco przypomina swojego ojca – wysokiego, czarnego i przystojnego – chociaż doktor Iverson raczej marszczy brwi, a Elijah dla odmiany zawsze uśmiecha się i śmieje.

– Jak dotąd wszystko wydaje się przebiegać gładko – mówi, wciąż taksując przestrzeń. – Z wyjątkiem tego, że zgubiłem randkę.

– Przyprowadziłeś randkę? – pytam. – Gdzie on jest?

– To ona – odpowiada, posyłając mi uśmiech, a potem śmieje się z mojej miny, ponieważ Elijah nie był na randce z kobietą, odkąd zrobił coming out w college’u. – Żartuję, Sean. Tak naprawdę...

Zaniepokojona kobieta w stroju cateringowym podbiega do Elijaha, wymachując planem miejsc i przerywając to, co miał do powiedzenia. Po lawinie szeptów i wymamrotanym „cholera jasna” Elijah przeprasza ją macha do mnie i ucieka, aby ugasić pożar, który płonie za kulisami benefisu, zostawiając mnie samego z moją szkocką. Spoglądam z powrotem na wpadającego się we mnie doktora Iversona. Kiwa mi głową, a ja odwzajemniam skinienie i nie przegapiam chłodnego współczucia w jego wyrazie twarzy.

Wiem dokładnie, czemu ono służy, i coś gdzieś głęboko w piersi nie daje mi spokoju.

Wąż się w garść i wracaj do rundy zwycięstwa, Bell.

Tyle że nagle nie mam na to ochoty. Chcę więcej szkockiej i trochę świeżego powietrza, bo nawet przy masywnej szklanej ścianie z widokiem na błyszczącą linię nieba, czuję się klaustrofobicznie i niespokojnie – a melodia sektetu smyczkowego w rogu wydaje się teraz tak beznadziejnie głośna, rozchodzi się jak gaz, wypełniając każdą wnękę i balkon po brzegi. Niemal po omacku, gorączkowo, docieram do drzwi na taras.

Wyjść.

Wyjść.

Wyjść.

Nocne powietrze zalewa mnie nagłą, chłodną ciszą, biorę głęboki wdech. I kolejny. I kolejny. Dopóki mój puls powoli nie wraca do normy, a ucisk w klatce piersiowej się nie poluzuje. Aż mój mózg przestanie przypominać zlepek zapiekanych potraw i kwiatów, tych sprzed czternastu lat i tych sprzed tygodnia.

Wolałabym, żeby to, co się ze mną dzieje, spowodowane było tylko pamięcią o śmierci Lizzy. Chciałabym, żeby tata

Elijaha nie miał powodu patrzeć na mnie z politowaniem. Chciałbym wziąć prysznic, iść na spotkanie, choć raz wyruchać cudowną kobietę, bez ciągłej konieczności trzymania telefonu pod ręką z włączonym dźwiękiem w razie nagłego wypadku. Chciałbym po prostu cieszyć się podpisaniem umowy z Keeganem, tym, że mam nieprzyswoite ilości pieniędzy i elegancki nowy penthouse, ładne ciało i jeszcze ładniejszego kutasa i włosy.

Ale okazuje się, że są sprawy, których pieniądze i świetne włosy nie naprawią.

Niespodzianka.

Dopijam resztę szkockiej, odstawiam kieliszek na wysoki stolik i idę dalej na porośnięty trawą taras. Przede mną miasto pnie się w górę wzgórza w delikatnym migotaniu świateł; za mną wznosi się solidna kurtyna ze szkła i stali, która stanowi moje królestwo. Gdzie mieszkam, pracuję i bawię się. Powietrze wypełnia muzyka letnich cykad i dźwięki ruchu ulicznego, a ja chciałbym, choć przez pieprzoną chwilę, przypomnieć sobie, jak to było słuchać tych odgłosów z poczuciem spokoju. Wpatrywać się w te światła i nie pamiętać blasku szpitalnych jarzeniówek, brzęczenia monitorów, zapachu płynu do dezynfekcji.

Na tarasie nie ma prawie nikogo – choć noc jest młoda i jestem pewien, że pijane towarzystwo będzie się tu śmiać i pić drinki, gdy tylko zabiorą talerze z deserami. Mimo wszystko jestem wdzięczny za chwilę samotności przed powrotem do rundy zwycięstwa. Po raz ostatni zaciągam się zapachem pachnącej trawy przed wejściem do środka i wtedy ją dostrzegam.

To sukienkę widzę jako pierwszą – przebłysk czerwonego, lejącego się jedwabiu, drganie skrawka materiału na wietrze.

To jak czerwona peleryna machająca przed bykiem; w ciągu kilku sekund znów jestem Seanem Bellem, runda zwycięstwa i wszystko inne. Zmieniam kierunek, podążając za uwodzieielskim blaskiem czerwonego jedwabiu, aż znajduję kobietę, do której należy.

Stoi odwrócona od szyby i tłoczących się po jej drugiej stronie bogaczy, opierając się o jeden z masywnych kabli kotwiczących szczyt budynku do tarasu. Wiatr bawi się jedwabiem wzdłuż jej ciała, marszcząc spódnicę i malując apetyczne kontury jej talii i bioder, a światła miasta lśnią wzdłuż ciepłej brązowej skóry jej odsłoniętych ramion i pleców. Podążam wzdłuż jej kręgosłupa, aż do miejsca, w którym sukienka opina jej pośladki, a potem z powrotem do delikatnych skrzydeł jej łopatek poprzecinanych cienkimi czerwonymi ramiączkami.

Odwraca się, słysząc moje kroki, a ja prawie się zatrzymuję, bo, ja pierdołę, jest ładna, i podwójnie ja pierdołę, młoda. Nie jak nastolatka, ale może jak studentka college'u. Z pewnością za młoda dla trzydziestosześcioletniego mężczyzny.

A jednak nie przestaję iść. Opieram się o gruby kabel kotwicy obok niej i wkładam ręce do kieszeni, a kiedy na nią patrzę, nasze twarze całkowicie oświetla złote światło padające z sali.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, jej usta rozchylają się lekko, jakby zszokowała ją moja obecność, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi, ale szybko porzucam tę myśl. Najprawdopodobniej nie może uwierzyć w to, jak wspaniałe są moje włosy.

Chyba że – mam na twarzy resztki jedzenia? Ukradkiem przejeżdżam dłonią po ustach i brodzie, aby się upewnić, a jej oczy podążają za tym ruchem z zapalem, który rozpała gorący, napięty żar w moim brzuchu.

W tym świetle mogę w końcu dobrze zobaczyć jej twarz i widzę, że jest nie tylko ładna. Powiedziałbym, że oszałamiająca, niesamowita. Jest tak piękna, że inspiruje piosenki, portrety i wojny. Jej twarz to delikatny owal z wysokimi kośćmi policzkowymi i szerokimi brązowymi oczami, lekko zadarty nos z błyszczącym kolczykiem z boku i usta, od których nie mogę oderwać wzroku. Jej dolna warga jest mniejsza niż górna, razem tworzą miękkie, bujne usta. Cały obraz otacza burza loków.

Jezu Chryste. Ładna. Co za głupie słowo, co za wątły cień prawdy. Ciasta i poduszki są ładne – ta kobieta to coś zupełnie innego. Coś, co sprawia, że mrugam i odwracam wzrok na chwilę, ponieważ jej widok wywołuje dziwne uczucie w moim gardle i klatce piersiowej. Patrząc na nią, czuję się tak, jakbym trzymał ręką zasłoniętą skrywającą jakąś potężną tajemnicę, tak jak kiedyś czułem się, patrząc na witraże w kościele.

Tak jak kiedyś czułem się w obecności Boga.

Myślenie o kościele i Bogu wywołuje u mnie nawykowy przypływ zimnej irytacji i zmusza do opanowania się. Mam pewność, że ta kobieta myśli, że zwariowałem, podchodząc tak do niej, a potem stoję, nie potrafiąc nawet utrzymać kontaktu wzrokowego. Trzymaj myśli na wodzy, Sean, upominam sam siebie. Runda zwycięstwa, runda zwycięstwa.

– Miła noc – zagaduję.

Odwraca głowę jeszcze bardziej, a końce jej loków całują nagie ramiona i nagle wszystko, co chcę zrobić, to pocałować te nagie ramiona, odgarnąć jej włosy na bok i całować wzdłuż obojczyka, aż zacznie jęczeć.

– To prawda – odpowiada, i, Boże, ten jej głos. Słodki i altowy, z odrobiną chrypki na krawędzi słów.

Zwracam głowę w stronę imprezy.

– Lekarka czy darczyńczyni? – pytam, starając się subtelnie ocieplić drogę do prawdziwego pytania: „Czy przyszłaś tu sama?”.

Szerzej otwiera oczy, a ja zdaję sobie sprawę, że moje słowa ją zaskoczyły, chociaż Bóg wie dlaczego, w końcu to dość normalne pytanie. A potem w jej wzroku pojawia się błysk czegoś nieczytelnego, ale szybko to tłumii.

– Ani jedno, ani drugie – wyjaśnia, a ja wyczuwam w jej głosie niespodziewaną rezerwę.

Kurwa. Nie chcę jej wystraszyć, ale z drugiej strony nie wiem, czy to, co chcę zrobić, jest o wiele lepsze. Wydaje się taka młoda, zbyt młoda, by zaprosić ją do siebie, zbyt młoda, by zaciągnąć ją na ukryty balkon, bym mógł paść przed nią na kolana i sprawdzić, jak smakuje...

Boże, powinienem odejść. Trzymać się mojego stałego zestawu towarzyskiego i striptizerek. Ale chociaż prostuję się, by odejść, nie mogę zmusić swojego ciała, by się od niej odsunęło.

Te miedziane oczy. Te soczyste usta.

Nie zaszkodzi po prostu porozmawiać, prawda?

Kiedy o tym myślę, unosi ramiona, unosi podbródek, jakby podjęła decyzję.

– A ty kim jesteś? – pyta. – Lekarzem czy darczyńcą?

– Darczyńcą – mówię z uśmiechem. – A raczej moja firma jest darczyńcą.

Kiwa głową, jakby już знаła odpowiedź, tak mi się wydaje. Większość lekarzy ma w szafie przyzwoity smoking, ale spójrzmy prawdzie w oczy, nie zawsze słyną ze stylu. A ja dzisiaj jestem więcej niż stylowy. Sięgam w górę, by wyregulować krawat, tak by mogła zobaczyć błysk zegarka i spinek do mankietów.

Ku mojemu zaskoczeniu chichocze.

Zamarłem, nagle bojąc się, że znów mam resztki jedzenia na twarzy.

– O co chodzi?

– Czy ty... – Chichocze na tyle, że trudno jej wydusić z siebie słowa. – Czy ty... się mizdrzysz?

– Nie mizdrzę się – odpowiadam z pewnym oburzeniem. – Nazywam się Sean Bell, a Sean Bell się nie mizdrzy.

Jej dłoń zakrywa teraz usta. Patrzę na jej długie smukłe palce i paznokcie pomalowane na połyskujące złoto.

– Puszysz się – rzuca.

Jej uśmiech jest tak duży, że widzę go wokół jej dłoni, i, o mój Boże, chcę polizać jej brzuch i spojrzeć w górę, by zobaczyć ten uśmiech, gdy całuję ją między nogami.

– Wiesz, kobiety zazwyczaj nie śmieją się ze mnie w ten sposób – mówię cierpiącym głosem, mimo że też się uśmiecham. – Zwykle są pod wrażeniem moich zalotów.

– Jestem pod wrażeniem – zapewnia z kpiącą powagą, próbując przybrać na twarzy wyraz udawanego podziwu, ale nie udaje jej się to i śmieje się jeszcze mocniej. – Jestem pod wielkim wrażeniem.

– Na tyle, by pozwolić mi przynieść ci drinka? – pytam. To część scenariusza, odpowiedź wynikająca z wieloletniego przyzwyczajenia, więc dopiero po wypowiedzeniu tych słów przypominam sobie, że nawet nie wiem, czy może legalnie pić alkohol. – Ech. Możesz pić?

Jej uśmiech nieco blednie. Opuszcza dłoń do talii i przesuwając ją po abstrakcyjnych zagięciach jedwabiu.

– W zeszłym tygodniu skończyłam dwadzieścia jeden lat.

Co to za wymówka? Połowa mojego wieku plus trzy?

MIŁOŚĆ Z KAŻDEJ STRONY



-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca